

PATRICK
LEIGH
FERMOR

*Między lasem
a wodą*

PIESZO DO KONSTANTYNOPOLA.

ZNAD ŚRODKOWEGO DUNAJU DO ŻELAZNYCH WRÓT

Tłumaczyły Dorota Kosińska, Ewa Kosińska



Warszawa 2024

Przejście przez most

Być może zbyt długo zwlekałem z pokonaniem mostu. Słowacki i węgierski brzeg osnuły przedwieczorne cienie, a przepływające wartko między brzegami poblądłe wody Dunaju uderzały o nabrzeża starego portu w Esztergomie (Ostrzyhomiu), gdzie w zapadającym zmierzchu ze szczytu stromej skały wyrastała bazylika. Wsparta na otaczającej ją kolumnadzie, zwieńczona kopułą świątynia wraz z dwiema palladiańskimi dzwonniami, brzmiącymi teraz bardziej *staccato*, panowała nad rozciągającym się wokół na wiele mil, mroczniejącym krajobrazem. Nabrzeże i stroma uliczka biegnąca obok pałacu arcybiskupa w jednej chwili opustoszały. Graniczny posterunek mieścił się na końcu mostu, toteż szybkim krokiem udałem się na Węgry; tłum ludzi, których wypadająca w tym dniu Wielka Sobota zgromadziła wcześniej nad brzegiem rzeki, przewędrował uliczką na plac przed katedrą, gdzie odnalazłem ich spacerujących

pod drzewami lub prowadzących rozmowy w niewielkich grupach. Dachy domów poniżej placu ginęły w ciemności, jedynie las, rzeka i rozlewisko majaczyły niewyraźnie, póki nie zgasł ostatni promyk zachodzącego słońca.

Znajomy napisał do burmistrza Esztergomu: „Proszę okazać życzliwość młodzieńcowi, który wędruje pieszo do Konstantynopola”. Z myślą, by nazajutrz odwiedzić adresata, spytałem o biuro burmistrza przypadkowo napotkanego mężczyznę, ten zaś, nim zdążyłem się zorientować, co zamierza, ku mojemu przerażeniu zaprowadził mnie wprost do rzeczonyj osoby. Burmistrza otaczali wspañiale odziani patrycjusze, których podziwiałem wcześniej na brzegu Dunaju. Zacząłem przebąkiwać, że jestem wędrowcem, przed którym go ostrzegano, on zaś słuchał z wyrazem uprzejmego zdziwienia; na koniec go olśniło i po krótkiej, niewątpliwie żartobliwej wymianie zdań z jednym ze świetnych mężów powierzył mnie jego pieczy i pospieszył przez plac do ważniejszych obowiązków. Polecenie zostało przyjęte z pewnym rozbawieniem; mego opiekuna najpewniej obciążono moją osobą ze względu na jego biegłą angielszczyznę. Miał na sobie wspañiały, uroczysty strój; turecką szablę nosił przerzuconą nonszalancko przez ramię, a w jego lewym oku połyskiwało szkielekko monokla.

W tejsze chwili oczy wszystkich skierowały się w dół z boczna. Stukot końskich podków i dzwonienie uprzęży wezwały burmistrza do stóp katedry, której schody okrywał czerwony dywan. Duchowieństwo i pomocnicy z płonącymi świecami utworzyli ceremonialne zgrupowanie, a gdy powóz zatrzymał się, z jego wnętrza wyłoniła się płomiennie odziana postać, po czym kardynał, monsinior Serédi, zarazem arcybiskup Esztergomu i prymas Węgier w jednej osobie, wysiadł z wolna, podając zgromadzonym upierścienioną dłoń do pocałunku, podczas którego każda kolejna osoba przyklękała na jedno kolano. Kardynalska

świta ruszyła w ślad za nim do wnętrza okazałego gmachu, a tuż za nią prowadzona przez proboszcza grupa z burmistrzem na czele podążyła w kierunku udrapowanych szkarłatem frontowych ławek. Zrobiłem ruch, jakbym zamierzał zająć skromniejsze miejsce, ale mój opiekun stanowczo powiedział: „Stąd lepiej pan będzie widział”.

Wielka Sobota wypełniła połowę ogromnej katedry, a ja rozpoznałem w tłumie wiele postaci, które wcześniej paradowały nad rzeką: mieszczan w świątecznych strojach, czarno odzianych chłopów w butach z cholewami, a także wymyślnie uczesane dziewczęta w kolorowych spódnicach i białych, bogato haftowanych, fałdzistych rękawach, te same, które wcześniej spieszyły przez most z naręczami lilii, narcyzów i kaczeńców. Byli też dominikanie w białych i czarnych habitach, mnóstwo zakonnic, spora garść mundurów, a pod wielkimi wrotami roiała się gromadka jaskrawo ubranych Cyganów, którzy, wsparci pod boki, nachylali się ku sobie i coś szeptali. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby do katedry wkroczył jeden z tresowanych cygańskich niedźwiedzi, zanurzył łapę w barokowej kropielnicy w kształcie ogromnej muszli, po czym padł na kolana.

Jakaż odmiana po wstrząsająco ponurej jutrzni sprzed dwóch dni! Kiedy pogasły płomyki zdejmowanych z ołtarza świeczek, mały słowacki kościółek pogrążył się w ciemnościach. Tutaj zaś ogromny gmach pełen był światła, w każdej kaplicy migotały nowe konstelacje płomyków, na chórze płonęła świeca paschalna, a nad stojącymi szeregiem na głównym ołtarzu, wysokimi niczym lance świecami unosiły się płonące równym światłem świetliste gwiazdy. Z wyjątkiem czerwonych ław frontowych w katedrze w strojach duchownych, tak celebransa, jak i diakonów, a także służby kościelnej dominowała biel. Arcybiskup w złocie i bieli, porzuciwszy wcześniejsze kardynalskie szkarłaty, zasiadł na tronie pod opatrzonym herbem baldachimem,

podczas gdy członkowie jego niewielkiej świty przysiedli na stopniach tronu. Siedzący najniżej miał w swojej pieczy ciężki pastorał, stojący zaś z tyłu baczył, aby w nakazanych liturgią chwilach unieść, a następnie opuścić wysoką białą mitrę i za każdym razem starannie ułożyć jej wstążki na okrytych paliuszem ramionach. Natomiast na poły wojskowa brawura zgromadzonych w bocznej nawie notabli, ich wielobarwne kubraki z jedwabów, brokatów i futer, złote i srebrne łańcuchy, buty z cholewami w barwach błękitu, karmazynu i turkusy, złożone ostrogi, baranie kołpaki z diamentowymi sprzączkami i wysokie kity z czaplich, orlich i żurawich piór, wszystko to równie znakomicie jak odświętne szaty na *Pogrzebie hrabiego Orgaza* harmonizowało z duchownym majestatem. Przy czym największe wrażenie robiły stroje czarne – takie jak u mego nowego przyjaciela lub u namalowanych grandów z Toledo. Wsparte o ławki bułaty o złożonych, inkrustowanych kością słoniową krzyżowych gardach, w ozdobnych, wysadzanych klejnotami pochwach musiały chyba pamiętać czasy wojen z Turkami. Kiedy zadzwoniono na *Credo* i wierni powstali, jedna z szabel osunęła się z łoskotem na kamienną posadzkę. W toczonych przed laty bojach ich brzeszczoty przyprawiały cwałujących przez pusztę Turków o zawrót głowy. Węgrów, rzecz oczywista, też...

Na chwilę zapadła cisza, ale zaraz zagrzmiały i zaśpiewały organy niosące wieść, że oto Bóg powstał z martwych. Z dziesiątek gardeł na chórze wyrwały się i poszybowały głośne *Alleluja*; opływający rzeźbione liście akantu obłok kadzideł wzniosł się pod kopułę, ginąc w cieniowym mroku, i nastąpiło nowe poruszenie. Najeżona płonącymi świecami, poprzedzona wysokim krzyżem przednia straż duchowieństwa i akolitów docierała już do połowy głównej nawy. Za nimi postępował baldachim z niesionym w monstrancji Świętym Sakramentem. Dalej arcybiskup,

burmistrz i siwobrody, kuśtykający z trudem z pomocą trzciniowej laski nestor magnaterii, a za nimi wszyscy pozostali. Pchnięty przyjacielskim kuksańcem dołączyłem do postępującego z wolna korowodu, który już, jakby niesiony prądem dźwięków i kadzideł, przepłynął wrota świątyni i znalazł się na zewnątrz.

Księżyc stał ogromny, zaledwie dzień po pełni, było więc jasno niemal jak za dnia. Procesja spłynęła po schodach i powoli ruszała w drogę, ale gdy postępująca za tłumem kapela odegrała pierwsze takty, muzykę natychmiast zagłuszyły inne dźwięki. Skrzypiały koła i pojękiwały deski pojazdów na czele pochodu, a nocną przestrzeń przeszywało bliskie szaleństwu bicie dzwonów; po chwili zaś jeszcze inne, uparte, klekoczące dźwięki pomiędzy uderzeniami spiżu kazały wszystkim podnieść głowy. Godzinę czy dwie wcześniej para zmęczonych podróżą z Afryki bociaków wylądowała na zmierzwionym gnieździe pod jedną z dzwonnicy i wszyscy obserwowali, jak się w nim mościły. Teraz zaś wystraszone hałasem ptaki, rozpaczliwie trzepocząc skrzydłami i wyciągając szyję, znowu podrywały się do lotu i prostowały szkarłatne odnóża. Rozpostarły się czarne, równoległe do ogromnych białych lotek pióra, po czym miarowe, niespieszne uderzenia skrzydeł uniosły odprowadzane naszym wzrokiem ptaki ponad koronę kasztanowca i wyżej w niebo. „Nie mogły sobie wybrać lepszego wieczoru na powrót do gniazda”, mruknął mój sąsiad, kiedy pochód znowu ruszył.

W całym mieście jedynym oświetleniem były płomyki świeczek poprzyklejanych rzędami do parapetów oraz trzymany w rękach przez oczekujące tłumy. Mężczyźni stali z gołymi głowami, kobiety w chustkach, a blask osłoniętych złożonymi dłońmi płomieni odwracał panujący za dnia układ światła i cieni: rysował jasne linie szczęk i nozdrzy oraz świetliste półksiężycy pod brwiami, podczas gdy

wszystko wokół owych świetlistych masek tonęło w mroku. Mijaliśmy kolejne biegnące cichymi szpalerami światełek ulice, a za każdym razem, gdy zbliżało się czoło procesji, wszyscy klękali, aby po paru chwilach powstać, kiedy się oddalała. Potem otoczyły nas szpalery topoli, od czasu do czasu rozbrzmiewały solenne śpiewy. Kiedy chóry milkły, do brzęku kadzielnych łańcuszków i postukiwania arcybiskupiego pastorału o bruk dołączało rechotanie niezliczonych setek żab. Nad naszymi głowami krążyły w powietrzu obudzone ze snu śpiewem i biciem dzwonów miejskie bociany spoglądające w dół na sznur nikłych światełek, który tymczasem zawrócił i wspinał się na katedralne wzgórze. Niezwykłość owych chwil, migotanie świec, śpiewy i woń kadzideł, oddech zbliżającej się wiosny, kołujące w górze bociany, zapach pól, bicie dzwonów, dobiegający z sitowia żabi chór, blade cienie i nierealny blask księżycy nad lasami i srebrzystą taflą wody – wszystko to razem nadawało owej nocy niepojęty czar wszechogarniającej zbawczej potęgi.

Po zakończeniu uroczystości wszyscy znów wylegli na schody katedry. Kareta już czekała; arcybiskup, przebrany z powrotem w kardynalskie szaty oraz obszerną gronostajową oponczę na znak, że piastuje tytuł księcia Kościoła, z wolna wsiadł do środka. Członek gwardii przybocznej, podpierający go kapelan z wydatnym jabłkiem Adama i binoklami na nosie oraz foryś w husarskim uniformie postępowali szeregiem w metrowych odstępach, niczym rybacy zbierający sieć, która na koniec wypełniła wnętrze karety jakby prześwietlonym przez wodę jedwabiem jasno różowej barwy. Kapelan wspiął się i zajął miejsce naprzeciw, a po nim członek gwardii przybocznej, który zasiadł sztywno wyprostowany, opierając dłoń w czarnej rękawiczce na rękojęści tureckiej szabli. Foryś złożył schodki, mały lokajczyk w futrzanej czapie zatrzasnął drzwi ozdobione herbowym kapeluszem ze wstążkami, a gdy obaj służący

wskoczyli na tył pojazdu, woźnica w podobnej futrzanej czapce szarpnął lejce, strusie kity przytaknęły i czwórka siwków ruszyła. Kiedy ekwipaż zbliżył się do stoku wzgórz, w tłumie wybuchły huczne brawa, czapki i kapelusze poleciały w górę, a z okna powozu wyłoniła się ozdobiona kardynalskim pierścieniem na purpurowej rękawicze błogosławiąca dłoń.

Na tonących w świetle księżycy schodach wszyscy obejmowali się, wymieniali świąteczne życzenia, obcałowowali swoje policzki i dłonie. Mężczyźni nakryli głowy futrzanymi czapkami, poprawili przerzucone przez ramię dolmany i po wielogodzinnym panowaniu łaciny huknął radosny gwar daktylicznej węgierskiej mowy.

„Ciekawe, co porabiają nasze bociany”, mruknął mój przewodnik, przecierając monokl jedwabnym fontaziem. Zbliżył się niespiesznym krokiem na skraj schodów, po czym, wsparłszy się na mieczu niby na składanym myśliwskim krzeselku, popatrzył w górę, w ciemność. Spomiędzy gałązek wystawały dwa dzioby, jeden obok drugiego, a w mroku udało nam się z trudem wypatrzeć resztę pogrążonych w głębokim śnie ptaków. „Znakomicie! – skonstatował mój towarzysz. – Przyjemnych snów”.

Dołączywszy do zebranych, powiódł w koło otwartą papierośnicą, a następnie wybrał z namysłem papieros dla siebie i postukał nim o chropawe złożone wieczko. Wokół płomyka zapalniczki wytrysnęły na chwilę trzy tworzące małą piramidkę nachylone ogniki i zaraz zgasły. Mężczyzna zaciągnął się głęboko, wstrzymał oddech, po czym z wolna wypuścił z płuc papierosowy dym. „Nie mogłem się go doczekać. To mój pierwszy papieros od końca karnawału”, powiedział.

Dzień zakończyło wieczorne przyjęcie u burmistrza z palinką na początek, istną powodzią podawanych nieprzerwanie win i wreszcie tokajem, tak że w rezultacie owe wspaniale odziane postacie widziałem jak przez mgłę. Na

pożegnanie burmistrz wyjaśnił mi przepaszającym tonem, że ma dom pełen gości, ale pokój dla mnie znalazł się u sąsiada. O jakiegokolwiek zapłacie nie było mowy! Nazajutrz rano zaprzyjaźniony wielbiciel bocianów, tym razem w spokojnych tweedach i koszulce polo, zajechał po mnie groźnym bugatti, a jedynym śladem wczorajszych splendorów była turecka szabla wśród bagaży na tylnym siedzeniu. Pojechaliśmy obejrzyć obrazy w pałacu arcybiskupa. A potem zapytał, czemu nie miałbym zabrać się dalej jego samochodem? W mgnieniu oka bylibyśmy w Budapeszcie. Z pewnym ociąganiem postanowiłem jednak trzymać się przyjętej zasady – żadnego podwożenia, chyba że przy wyjątkowo podłej pogodzie. Umówiliśmy się więc na spotkanie w stolicy. Kiedy nowy znajomy odjechał z fasonem, machając ręką na odchodne, pożegnałem się z burmistrzem, spakowałem rzeczy i ruszyłem w drogę. Raz po raz zadając sobie pytanie, czy to możliwe, żeby wszyscy Węgrzy byli tacy jak on.

Spojrzenia rzucające za siebie ze ścieżki pnącej się skrajem lasu ukazywały moczary, kępy drzew, pustacie porośnięte wysokim sitowiem oraz rzekę, której wody rozdzielały się i znów łączyły, opływając leniwie łańcuch wysepek. Widziałem, jak ptactwo wodne zrywa się do lotu i krąży w powietrzu niczym krople tryskającej w górę fontanny, a siadając z powrotem, opryskuje lagunę tysiącem strumieni. Po pewnym czasie widoki te przesłoniło wzniesienie terenu. Na przeciwnym brzegu wyrastały strome stoki gór, w dół rzeki biegnące na siebie niższe wzgórza, kędzierzawe połączenia drzew ustępowały miejsca wapiennym lub porfirowym skałom, a tam, gdzie się zbiegały, nurt zielonkawej rzeki pogłębiał się i przyspieszał.

Od czasu do czasu u ich stóp pojawiała się wioska ze stojącymi na jednej nodze, na strzechach i kominach,

bocianami. Ich podrywom do lotu towarzyszyły serie szybkich klapnięć, a gdy frunąc nad lasem, przelatywały na słowacką stronę rzeki, promienie słońca oświetlały spód ich skrzydeł. Potem przechylały się na bok i niemal nie poruszając skrzydłami, wracały na Węgry. Schodząc do lądowania z patykami w dziobach, frunęły nad dachami do wybranego celu z rozpostartymi niczym palce balansującego na linie akrobaty czarnymi lotkami. Będąc ptakami niemyymi, bociany stworzyły osobliwą pieśń miłosną, polegającą na podnoszeniu i opuszczaniu głowy, czemu towarzyszyły szybkie, brzmiające jak trzaski uderzanych o siebie deseczek, otwieranie i zamykanie czerwonego dzioba. Tuzin tego typu zalotów odbywających się w jednej z nadrzecznych wiosek przypominało koncert niezliczonych kastanietów. Porwane nagłym uniesieniem potrafią wykonać kilkumetrowy skok wzwyż, po którym lądują w wielkim pomieszczeniu na niebezpiecznie śliskiej strzesze. Poprzedniego wieczoru widzieliśmy ich ciągnący się przez wiele mil wspaniały przelot; dzisiaj bociany były wszędzie, a ja przez wiele następnych tygodni nie mogłem do nich przywyknąć. Ich dziwnie poruszający klekot stanowił nieodłączny akcent mojej wędrówki, a ich czar opromieniał kolejne regiony aż do czasu, gdy przemierzając w sierpniu bułgarskie góry, po raz ostatni zegnałem wzrokiem malejącą w oddali chmurę bocianów odlatujących do Afryki.

Był pierwszy kwietnia 1934, Wielkanoc, od pełni księżyca minęły dwa dni, od zrównania dnia z nocą upłynęło ich jedenaście, a czterdzieści siedem od moich dziewiętnastych urodzin, sto jedenaście dni temu wyruszyłem w swoją wędrówkę, lecz granicę przekroczyłem zaledwie niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Drugi brzeg rzeki należał jeszcze do Słowacji, ale parę mil dalej z północnych wzgórz wyłoniły się meandry jej dopływu i pokryte dachówką domy oraz dzwonnice małej wioski o melancholijnej nazwie

Szob, znacząc miejsce spotkania obu rzek. Granica pobiegła doliną dalej na północ i oba brzegi Dunaju po raz pierwszy znalazły się na terenie Węgier.

Moja dotychczasowa wędrowka prowadziła niemal wyłącznie przez śnieżny pejzaż; krajobraz obwieszony sopłami lodu, często zamglony padającymi z nieba płatkami. Jednakże w ciągu ostatnich trzech tygodni nastąpiło całkowite przeobrażenie. Śnieg skurczył się do rozmiarów paru szaroburzych placków, a na Dunaju pękały lody. Tam, gdzie lód jest solidny i masywny, odwilż powoduje, że zaczyna on pękać z towarzyszeniem głośnych eksplozji podobnych do serii uderzeń pioruna. W trakcie rozpadania się ogromnych bloków lodu znajdowałem się zbyt wysoko nad rzeką, by to słyszeć, ale jej wody w jednej chwili pokryły się pędzącymi z nurtem albo tworzącymi zatory kawałami kry. Nie nadążało się ze śledzeniem zmian: płynące w stłoczeniu lodowe trójkąty i wielokąty stopniowo mętniały i strzępiły się na brzegach, coraz słabiej obijały się o siebie i kurczyły do rozmiarów cienkich płatków; aż na koniec pewnego ranka kra zniknęła. Były to na pozór dosyć umiarkowane zapowiedzi wiosny. Kiedy słońce świeci najmocniej, wieczne śniegi, alpejskie lodowce i karpackie szczyty wydają się z daleka niezmiennione; jednakże patrząc w koło, ma się wrażenie, że roztopia się całe lodowe serce Europy. Z gór spływają tysiące strumyków, potoki pęcznią od wody, wielka rzeka występuje z brzegów i zalewa łąki, topi stada bydła i koni, obala brogi, wyrывa drzewa i unosi je z prądem, blokując po drodze albo znosząc mosty z wyjątkiem tych największych i najsolidniej zbudowanych.

Wiosna wybuchła raptem jak za naciśnięciem guzika. Ptaki rozśpiewały się, rozpoczęły gorączkowe budowanie gniazd, niebo z dnia na dzień zapełniły unoszące się nad głową kukułki i jerzyki. Jaskółki naprawiały dawne siedliska, po kamieniach pomykały jaszczurki, w trzcinach

mnożyły się gniazda, a na mieliznach zaroilo się od żab, które, spłoszone nadejściem człowieka, kryły się pod wodą, ale zaraz wypływały na powierzchnię, przy czym ich rechot potężniał z godziny na godzinę, jakby do chóru dołączały tysiące nowych gardeł; za ich sprawą w ciągu dnia pustoszały czaple gniazda. One same zaś szybowwały nisko nad sitowiem, przechadzały się nierównym, ale zdecydowanym krokiem między liśćmi tataraku lub nieruchomiały, stojąc na jednej nodze jak bociany, i zmyślnie udawały rośliny. Mielizny i stojące nadbrzeżne wody gęsto porastało sitowie, a spomiędzy liści zamykających się na noc białych albo różowych lilii wodnych wyrastały wsparte na sztywnych łodygach wielkie kaczeńce.

Wzdłuż brzegu, poniżej rudobrazowych skał, osiki i smukłe topole rozsiewały wokół siebie migotliwą mgiełkę, a nad wartkim nurtem zwieszały się warkocze zatopionych korzeniami w wodzie wierzb. Opasane ciasnym gorsetem żółte wody marszczyły się i kłębiły w dzikim pędzie, ja zaś, mając za sobą parotygodniową wędrówkę wzdłuż Dunaju, umiałem już wypatrzeć owe obracające się z wolna, wzburzone kręgi, zdradzające obecność podwodnego tumultu.

Droga pięła się w górę, a gdy minęło upalne popołudnie, trudno mi było uwierzyć, że nareszcie ze wszystkich stron otacza mnie niemal mityczna węgierska kraina. Mimo że ta akurat jej część, góry Pilis, w najmniejszym stopniu nie odpowiadała moim oczekiwaniom. Kiedy wspiałem się jeszcze wyżej, Dunaj zniknął mi z oczu, zalesione szczyty pochłonęły widoczny trakt i tylko przez młodą dębinę przedierały się ukośne promienie zachodzącego słońca. W powietrzu unosiły się zapachy mchów i paproci, olchy i brzozy wypuszczały świeże pędy, a wyłożona miękkim, bo już przegniłym listowiem ścieżka biegła wśród omszałych pni drzew, u stóp których rosły kępy leśnych fiołków i pierwiosnków. Niekiedy las ustępował miejsca łąkom,

które ciągnęły się po obu stronach przez parę mil i biegły w górę ku ciemniejącym na szczytach lasom, a dolinami płynęły bystre, nastroszone rukwiami strumyki. Kiedy przekraczałem jeden z nich, przeskakując z kamienia na kamień, rozległo się beczenie i pobrzękiwanie owczych dzwonek, a zaraz potem zobaczyłem trzy pędzące ku mnie rozszczekane bestie z obnażonymi kłami, które jednak na wezwanie pasterza zawróciły. Jego owce tonęły po brzuchy w powodzi stokrotek. Młode sztuki musiały się rodzić koło Bożego Narodzenia i niektóre przeszły już strzyżę. Ja wprawdzie od kilku dni wędrowałem w koszuli z krótkimi rękawami, ale pasterz nadal nosił narzucony na ramiona długi kozuch sięgający stóp; chłopi niechętnie rozstają się z ciepłą odzieżą. *Jó estét kívánok!*, zakrzyknąłem, zużywając jedną czwartą posiadanego zasobu węgierszczyzny – na co pasterz odpowiedział tym samym życzeniem dobrego wieczoru oraz ceremonialnym uniesieniem czarnego kapelusza z wąskim rondem. (Od czasu pierwszych spotkań z węgierską ludnością w południowej Słowacji marzyłem o zdobyciu jakiegoś nakrycia głowy, by móc odwzajemnić owo uroczyste powitanie). Kiedy jego trzódka zdążyła się przeistoczyć w mrowie białych plamek i odległe brzęczenie dzwonek, moim oczom ukazało się całkiem inne stado. Na skraju lasu po drugiej stronie doliny pasła się gromadka młodych, jeszcze bezrogich danieli. Zachodzące z tyłu za nimi słońce rzucało na stok ich niesłychanie długie cienie; rozchodzący się w zalegającej ciszy odgłos kroków kazał im wszystkim równocześnie podnieść łby i patrzeć za mną, dopóki nie zniknąłem im z oczu.

Miałem ochotę spędzić noc na łonie natury i wspomnienie ostrzyżonych owieczek przypieczętowało sprawę; lekki wietrzyk prawie nie poruszał liści na drzewach. Pierwsza podobna próba, podjęta dwa dni temu w Słowacji, zakończyła się co prawda aresztem i oskarżeniem o kłusownictwo,

lecz cóż mogło mi zagrozić w głębi górskiego lasu, daleko od niebezpieczeństw czyhających przy granicy.

Rozglądając się za ustronnym miejscem noclegu, na końcu tonącej w mroku polany, na której hałasowały układające się do snu gawrony, dostrzegłem ognisko. We wnętrzu lasu, pod ogromnym dębem zbudowano z patyków i gałęzi zagrodę, której słupki świniopas umacniał, obwiązując je dwoma szybkimi ruchami łożyną, i w której wnętrzu przepychały się, walcząc o miejsce, czarne, poczochrane świnie. Obok zagrody stała chatka z trzcinowym poszyciem. Kiedy podszedłem, dwóch świniopasów podniosło znad ogniska zdziwione spojrzenia; Ktoś ty za jeden? Skąd przychodzisz? Moje wyjaśnienia – *Angol* i *Anglország* – niewiele im powiedziały, ale wyraźnie się rozpogodzili po wyciągnięciu butelki morełówki, ostatniego pożegnalnego łupu od przyjaciół z Esztergomu, i znalazło się trzecie siedzisko.

Ich ubrania były zrobione ze sztywnej jak tektura, białej wełnianej tkaniny. Zamiast kijów pasterskich albo ościeni używali spiczastych, opatrzonych małym ostrzem drzewców, wypolerowanych długim używaniem do połysku. Na stopach nosili rodzaj mokasynów, które zauważyłem po raz pierwszy u bratysławskich Słowaków; były brudnobiałe, z niewyprawionej wołowej skóry, o zadartych noskach, z przewleczonymi na brzegach i oplatającymi nogę do pół łydki rzemykami; w butach tych, wyłożonych wygodnie kilkoma warstwami białego filcu, stopy właścicieli zimowały w cieple aż do pierwszej wiosny.

Młodszy świniopas był chłopcem o nieco zwariowanym wyglądzie i gapowatym spojrzeniu. Znał około dziesięciu niemieckich słów, których nauczył się od „Szwabów” z sąsiednich wiosek (jak później odkryłem, byli to osiadli w okolicy Szwabowie), i często wybuchał dzikim, zaraźliwym śmiechem. Jego siwowłosey ojciec mówił tylko po węgiersku, a w trakcie opróżniania butelki z jego głęboko osadzonych,

otoczonych zmarszczkami oczu ostatecznie zniknął wyraz podejrzliwości. Z pewnym trudem pojąłem, że właścicielem przedstawionego za pomocą symbolizujących brak poroża rozpostartych palców stada danieli jest *főherceg* (czyli, jak się później dowiedziałem, arcyksiążę). Nadal językiem gestów, głośno chrząkając, rzucając wściekle spojrzenia i wyciągając naśladujące kły wskazujące palce, młodszy świniopas opowiedział o dzikach, które czyhają w okolicznych chaszczach, a zaraz potem spiralny ruch tychże palców mógł jedynie oznaczać obecność muflonów. Jego migowy język stał się bardziej dosadny, kiedy z widocznym ubawieniem pokazywał, jak dziki wdzierają się do zagrody, pokrywają potulne świnie i rozwalają ogrodzenie świeżo skrzyżowanych macior. Kilkoma ugotowanymi na twardo jajkami wzbogaciłem wspólną kolację złożoną głównie ze smakowitej wędzonej wieprzowiny, którą, posypaną papryką, pałaszowaliśmy z razowym chlebem, cebulą i twardym jak kamień serem.

Imiona świniopasów, Bálint i Géza, utkwily mi w pamięci ze względu na ich obce brzmienie. Widziani w świetle ogniska wyglądali jak postacie z czasów Wilhelma Zdobywcy, i miałem wrażenie, że zamiast z anachronicznej butelki powinniśmy sączyć gorzałkę z podawanego z rąk do rąk bydlęcego rogu. Kiedy butelka była pusta, zarzuciliśmy walkę z językiem, ograniczając rozmowę do bezradnych wybuchów śmiechu. Ten rodzaj prymitywnego porozumienia w dużej mierze złagodził poczucie obcości, a reszty dokonał alkohol i żywiołowy temperament chłopaka. Ognisko przygasało, zmieniała się też aura polany; z gałęzi drzew wylaniał się i wspinał na niebo księżyc niemal równie wielki jak podczas wczorajszej pełni.

W zatęchłej izdebce panowała ciasnota, kiedy więc moi gospodarze pojęli, że wolę nocować na dworze, w osłoniętym kącie pod brogiem ułożyli posłanie z liści i gałęzi. Powiódłszy ręką po trawie, starszy świniopas z zatroskaną

miną dotknął nią mojej dłoni – jego dłoń była mokra od rosy. Dał mi znać gestami, żebym się dobrze opatulił, toteż kiedy on z synem układali się w swojej chacie, włożyłem na siebie wszystko, co miałem.

Wymieniwszy życzenia dobrej nocy, położyłem się i zapatrzyłem w niebo. Cienie drzew kładły się na polanie niczym misternie powycinana tkanina. Pobliskie sowy przekazywały jedna drugiej sygnały, z chlewiku dobiegały stłumione pochrząkiwania powodowane złymi snami albo może niestrawnością, a nad ranem co jakiś czas podnosiła się jakaś świnka, zapewne wygłodzona po nocnym poście, i oddawała się błogiemu chrupaniu.

Wstaliśmy jeszcze po ciemku, w wilgotnych, jak było do przewidzenia, ubraniach, i gdy jedliśmy chleb z serem, starszy świniopas imieniem Bálint otworzył zagrodę. Świnie rzuciły się hurmem do wyjścia z głośnym tupotem, aby po chwili zabrać się, znacznie spokojniej, do codziennego rycia w poszukiwaniu żołądździ i rozsypanych głęboko pod gałęziami drzew bukowych orzeszków. Chcąc mi wskazać właściwą drogę, Géza poprowadził mnie przez las, pogwizdując i wymachując swym długim toporkiem, wyrzucając go w górę i łapiąc w powietrzu, przeskakując kępy paproci. Po rozstaniu i po dwugodzinnej samotnej wędrówce, nadal w świetle księżycy, dotarłem o świtaniu do zarośniętych drzewami ruin wielkiego zamku. U jego stóp opadał stromy, niemal pięćdziesięciometrowy zalesiony stok, w dole zaś, biegnąc na wschód, pod prąd płynących wód Dunaju, wiła się zieleniejąca listowiem dolina. Poniżej murów obronnych skręcała na południe, by o milę dalej skierować się na zachód, wciąż ledwo widoczna w głębokim mroku w miejscach, gdzie przesłaniały ją zalesione występy skał. Droga wiodąca w dół wzdłuż fortyfikacji między rosnącymi na pochyłości brzozaami i leszczyną przechodziła

w mały płaskowyż ze stojącą na wzgórku wieżą. Jeszcze krótkie przedzieranie się w dół przez mokry gąszcz, i byłem w Wyszehradzie³.

Wiedziałem o istnieniu tamtejszego zamku.

Pierwsi Madziarowie, którzy osiedlili się w Europie Środkowej pod koniec IX wieku, byli dzikimi, pogańskimi najeźdźcami. Cztery stulecia później, będąc od najmniej trzystu lat w pełni szacownym krajem, stali się wielkim chrześcijańskim królestwem, a rządzący nim ród Arpadów – ciesząca się sławą od dawien dawna dynastia wojowniczych królów, prawodawców, krzyżowców oraz świętych – był sprzymierzony z większością chrześcijańskich domów panujących; najwybitniejszym z Arpadów był król Béla IV, brat św. Elżbiety. Żył w burzliwych czasach. W ciągu kilkudziesięciu minionych lat Czyngis-chan i jego następcy pustoszyli tereny Azji od Morza Chińskiego po Ukrainę, a wiosną 1241 roku na Węgry dotarła wieść o zbliżającym się niebezpieczeństwie: po spaleniu Kijowa wnuk Czyngis-chana imieniem Batu skierował się ku wschodnim przeprawom. Béla rozpoczął działania obronne, ale mongolska nawałnica w błyskawicznym tempie pokonała Karpaty, zaskakując ospałych węgierskich magnatów, a po wycięciu ich w pień opanowała Wielką Nizinę, pustosząc i pałac miasta przez całe lato. Chłopom obiecano darowanie życia, jeżeli oddadzą najeźdźcom plony, a gdy ci oddali im jesienią zbiory, zostali bestialsko wymordowani. Później zaś, w dzień Bożego Narodzenia, Mongołowie przekroczyli po lodzie zamarznąłą rzekę i ruszyli na podbój zachodnich terenów kraju. Kilka miast uratowały solidne mury obronne

³ Gdybym dotarł w to miejsce kilka miesięcy później, ujrzałbym pierwsze fragmenty wykopalisk pałacu króla Macieja Korwina. Zobaczyłem go potem: ruiny wspaniałej renesansowej budowli dają jasne wyobrażenie, czym było królestwo Węgier przed podbojem tureckim.

lub otaczające moczary, ale Esztergom został spalony, większość pozostałych miast padła ofiarą płomieni, ich ludność wymordowano lub wzięto w niewolę.

Aż nagle wszystko zamarło. W mongolskim obozie zjawili się wysłannicy, przynosząc wiadomość, że w odległym o pięć tysięcy mil Karakorum zmarł Ugedej, następca Czyngis-chana. I oto w mgnieniu oka wszędzie – od granic Syberii, po ziemię za Wielkim Murem, zrujnowane państewka Kalifatu, ruiny Krakowa i Sandomierza, sosnowe lasy Moraw i jeszcze dymiące madziarskie miasta – skośnookie młodzieńcze oblicza rozrzuconych po świecie barbarzyńskich książątek zwróciły się w kierunku Turkiestanu Chińskiego, gdzie miała się rozpocząć walka o sukcesję; do połowy marca wszyscy najeźdźcy zniknęli. Béla, powróciwszy do kraju z Dalmacji, gdzie ukrywał się na jednej z wysepek, zastał swoje królestwo w ruinie. Rzezie i branka niewolników zredukowały ludność do połowy, a pozostali przy życiu zaczęli ostrożnie wychodzić z lasów. To, czego musiał dokonać, przypominało budowanie państwa na nowo, pierwszym zaś krokiem było zapewnienie bezpieczeństwa przed kolejnym najazdem Mongołów. Stąd zamczysta twierdza, na którą trafiłem przed Wyszehradem. Wzniesiono tę ogromną warownię, a po niej wiele innych. I kiedy Mongołowie znowu zaatakowali, zostali odparci.

Na budzącym się ze snu nabrzeżu w Wyszehradzie dźwięki węgierskiej mowy mieszały się z niemiecką, gdyż wychodziły z ust mówców zwanych przez Gézę Szwobami. Po wypędzeniu Turków tysiące chłopskich rodzin niemieckich z południowych Niemiec wsiadło do płaskodennych łodzi i odpłynęło z naddunajskich miast, głównie z Ulm; płynęły z prądem rzeki, a natrafiwszy na wyludnioną okolicę, przybili do brzegu i osiedlili się na stałe. Opowiadano, że zarówno ich język, jak i stroje zakładane z okazji świąt

nie zmieniły się od czasów Marii Teresy, za panowania której zapuścili tutaj korzenie. Małżeństwa mieszane były zapewne na porządku dziennym, niemniej, napotykając osoby o wyrazistym kolorze włosów – barwy pakuł bądź kruczo czarnych – wyobrażałem sobie, zapewne błędnie, że umiem odróżnić typowego Madziara od typowego Niemca.

Kiedy biegnąca wzdłuż Dunaju dróżka skręciła na południe, dolinę zalało poranne światło. Niebawem cypel smukłej wyspy z pióropuszcami wierzb i zagonami kielkującej pszenicy podzielił nurt rzeki na dwie części. Z gałęzi zwieszały się pętle rybackich sieci, kutry cumowały do konarów osik, topoli i wierzb, metalicznie szare gałązki rozsnuwały na tle ciemnej zieleni nadbrzeżnych drzew srebrzystą mgiełkę. Wyspa meandrowała wraz z rzeką przez blisko dwadzieścia mil. Od czasu do czasu powierzchnię wody mącił schludny parowiec, a w miarę upływu dnia ruch na rzece stopniowo się wzmacniał.

Jednakże po paru godzinach Dunaj zaczął się zachowywać w sposób niespotykany od czasu naszego pierwszego, osnutego śniegiem spotkania w Ulm przed jedenastoma tygodniami. (Zaledwie jedenaście tygodni temu! A wydają się niemal wiekiem!). W gruncie rzeczy, odkąd rzeczna kipiela wyłoniła się po raz pierwszy z podziemi parku księcia Fürstenberga w Schwarzwaldzie. Otóż po wykreśleniu dwóch zbliżonych półkoli Dunaj skierował się wprost na południe i miał dalej w ten sposób przemierzyć następne sto osiemdziesiąt mil, przepływając przez całe Węgry (inaczej mówiąc, od najwyższego do najniższego punktu na mapie), tak aby następnie, pod blankami Belgradu, skręcić znowu na wschód. To był niezwykle moment.

Późnym popołudniem, u końca wyspy, która przez cały dzień dotrzymywała mi towarzystwa, dotarłem do Szentendre, barokowego miasteczka wąskich brukowanych uliczek, krytych dachówką domów i kościelnych

dzwonnice o cebulastych kopułach. Wzniesienia zmały, pokryte lasem urwiska ustąpiły miejsca winnicom i ogrodom, w powietrzu wyczuwało się bliskość wielkiego miasta. Miasteczko zaludniali potomkowie Serbów, którzy przed trzema wiekami schronili się tutaj przed najazdem tureckim; nadal mówili po serbsku i modlili się we wzniesionej przez przodków prawosławnej katedrze. Ci, by użyć niemieckiego określenia, *Griechisch Orientalisch* różnią się od osiadłych dalej na wschód unitów – *Griechisch Katholisch* – przestrzegających wprawdzie obrządku prawosławnego, ale uznających autorytet papieża. O tym dowiedziałem się dopiero później, chociaż widok ikony zamiast krucyfiks nad łóżkiem w sypialni, w której spędziłem noc, powinien był dać mi do myślenia.

